

*To nie stało się przypadkiem*

# **TO NIE STAŁO SIĘ PRZYPADKIEM**

## **SOTTOSOPRA**

## **OD FUNDACJI**

Z Włoszkami zetknęliśmy się dzięki naszym przyjaciółkom z Niemiec. Po raz pierwszy usłyszałyśmy o grupie włoskiej trzy lata temu od Christiane Quadflieg podczas zorganizowanej przez nas konferencji „Prawa kobiet prawami człowieka”. Wówczas na tę informację nie zwróciliśmy uwagi. Bardziej interesowało nas konfrontowanie świata mężczyzn i świata kobiet, śledzenie nierównych zapisów prawnych i dyskryminujących praktyk codziennego życia, aniżeli skupienie się na rozmowach z kobietami, budowanie samoświadomości i analiza relacji między kobietami.

Dla niektórych z nas oznaczałoby to powrót do początku „przygody” z kobietami i feminizmem sprzed 17 lat. Nie chcieliśmy się cofać, chcieliśmy iść do przodu, chociaż już wtedy zaczęłyśmy się mocno zastanawiać, gdzie jest „przód”, co jest istotą naszego działania i jego celem. Wiedziałyśmy, że uchwalenie ustaw równościowych nie zlikwiduje automatycznie nierówności. A poza tym, jak powiedziała Lia Cigarini: „[...] równość jest wielką ideą społeczną, lecz nie stanowi niczyjego pragnienia [...]”.

Zdawałyśmy sobie sprawę, że przyszedł czas na przewartościowanie i zmiany, ale jeszcze nie znałyśmy kierunku. Bardzo pomocne w tym procesie okazały się kobiety z *Libreria delle donne di Milano*, z którymi nawiązałyśmy bezpośredni kontakt dzięki Marie Sichtermann. Poruszane przez Włoszki zagadnienia, takie jak wolność, władza, nierówność między kobietami, budowanie relacji, odwoływanie się do praktyk feministycznych, pożądanie, w pewnym stopniu pokrywały się z naszymi zainteresowaniami, ale przede wszystkim inspirowały nas intelektualnie, a sposób pracy – dyskusje w gronie kobiet, wspólne wypracowywanie tez i teorii, przypominał niektórym z nas spotkania i dysputy w nieformalnej grupie feministycznej z początku lat 80.

Po kilkunastu latach zatoczyłyśmy koło i niejako wróciłyśmy do punktu wyjścia, ale bogatsze o wiedzę i doświadczenie. Postanowiłyśmy pracować nad interpretacją i redakcją tekstu „Sottosopry” w większej grupie składającej się z Danuty Duch, Jolanty Plakwicz, Alicji Kosteckiej, Beaty Fiszer, Maryli Popławskiej, Nataszy Szymańskiej, Anki Siwek. Spotykałyśmy się przez kilka miesięcy w każdą środę, bazując na dwóch wersjach tłumaczeń – z języka włoskiego i niemieckiego. Tekst miejscami wydawał się nam „chropowaty”, uchwycenie istoty opisywanego problemu sprawiało trudność i dlatego możliwość odwołania się do odmiennych translacji okazywała się bardzo pomocna. Teoria wypracowana przez *Libreria delle donne di Milano* prowokowała i inspirowała do dyskusji. Często odbiegałyśmy od przedmiotu rozważań. Odwoływałyśmy się do własnych przemyśleń i doświadczenia, niekiedy nie zgadzając się z tezami Włoszek. Ze środowych spotkań pozostało kilka taśm, które czekają na opracowanie.

*Anka Siwek*

## O TEJ SOTTOSOPRZE

*Sottosopra (Postawione na głowie)* – to nazwa cyklu publikacji zapoczątkowanego w latach 70. przez Księgarnię Kobiet z Mediolanu. Ukazują się one w nieregularnie – niekiedy w odstępach kilkuletnich. Nieregularność ta gwarantuje, że tylko wtedy, gdy rzeczywiście mamy coś do powiedzenia, przedyskutowania, przenosimy to na papier. Od 1973 roku ukazało się osiem takich publikacji w gazetowym formacie i bardzo prostej szacie graficznej. Różnią się kolorem tytułowej czcionki: jest więc *Różowa, Zielona, Niebieska, Żłota*, a teraz również *Czerwona Sottosopra*.

Dwa pierwsze numery z lat 1973/1974 poświęcono politycznej działalności grup kobiecych z Mediolanu, numer specjalny z 1974 roku zajmował się pracą z podświadomością, kolejne publikacje podejmowały tematy seksualności i aborcji. W 1983 roku ukazała się najbardziej do dziś znana i wywołująca najwięcej dyskusji *Zielona Sottosopra*, która całkowicie stawiała na głowie dominującą wówczas w znacznej części ruchu kobiet koncepcję polityki jako żądania równych praw i walki z dyskryminacją, realizowanej w takich formach, jak demonstracje, zbieranie podpisów i tworzenie odizolowanych przestrzeni dla kobiet.

Dla mnie również – a wtedy przyjechałam właśnie z Niemiec, gdzie stykałam się wyłącznie z tak realizowaną polityką – tekst ten, a także praktyka, w której brałam udział, były prawdziwym wstrząsem. Tekst mówił o pragnieniach, o pożądaniu, o twórczej nierówności, o dobrym samopoczuciu i o niebezpieczeństwach statycznego separatyzmu!

Powstał po sześciu latach dyskusji, by w końcu w takiej formie stać się ich syntezą. W 1987 roku ukazała się *Niebieska Sottosopra*, tekst podważający koncepcję polityki reprezentatywnej, a dwa lata później *Żłota Sottosopra* podejmująca temat kobiecej wolności. W odróżnieniu od większości innych publikacji feministycznych mówiono tu o szczęściu! (Tytuł brzmiał: *Un filo di felicit*).

Również i ta *Sottosopra* powstała po długim cyklu dyskusji: przez ponad półtora roku spotykałyśmy się raz w miesiącu, aby zweryfikować stwierdzenie sprzed trzech lat, opublikowane w pierwszym numerze naszego czasopisma *Via Dogana*: polityka jest polityką kobiet. Obserwując rozwój sytuacji we Włoszech, a przede wszystkim opierając się na naszych własnych codziennych doświadczeniach, sprawdzałyśmy, czy tamta wypowiedź, sama w sobie będąca rezultatem przemyśleń wynikających z praktycznego działania, jest prawdziwa i czy nie trzeba jej zmienić, skorygować albo uzupełnić.

Ten sposób postępowania jest charakterystyczny dla Księgarni Kobiet w Mediolanie: tworzenie teorii polega na ubieraniu praktyki w słowa. Oficjalnym wydawcą *Sottosopry* jest Libreria delle donne di Milano; nie znaczy to jednak, że wszystkie kobiety, które pracują w Księgarni, brały udział w pracach nad publikacją. Uczestniczyły w nich te, którym ta forma refleksji jest szczególnie bliska. Zaproszono również inne kobiety, dla których ten temat, z powodu ich działalności i pracy, był bezpośrednio ważny, a których zdanie mogło wnieść wiele do dyskusji. *Czerwona Sottosopra* jest więc efektem pracy nie tylko kobiet z Mediolanu, ale również z Rzymu, Werony, Bergamo, Bolonii, Parmy i Mantui – kobiet zajmujących się najróżniejszymi dziedzinami: prawniczek, nauczycielek, docentek uniwersyteckich, działaczek związkowych, studentek, dziennikarki, przewodniczącej rady dzielnicy, kobiety z ruchu spółdzielczego...

*To nie stało się przypadkiem*

Nie określaliśmy z góry tematów naszych spotkań odbywających się raz w miesiącu podczas weekendu, oprócz oczywiście naszego wielkiego przewodniego tematu – dawało nam to poczucie dużej elastyczności, ale równocześnie wymagało od nas silnego skupienia na aktualnych sprawach. Mogłyśmy dzięki temu skrupulatnie obserwować i nazywać stale zmieniającą się rzeczywistość. To, że produktem końcowym będzie nowa Sottosopra, skryształowało się dopiero po około roku, kiedy rozpoznaliśmy konieczność wyciągnięcia wniosków z tego, co zostało powiedziane do tej pory, zanim dyskusje zaczną się powtarzać, a spotkania przekształcą w rytuał.

Podczas ferii wiosennych przenieśliśmy się do Manaroli (Cinqueterre), aby opracować nowy numer, tzn.: pisać, dyskutować, celebrować wieczorne „spaghetate” i śpiewać po nocach. Było to wspaniałe doświadczenie, nawet jeśli dwa miesiące później z powodu nowych wydarzeń politycznych część napisanego tam tekstu powędrowała do kosza (wiele trzeba było potem wyciągać z niego z powrotem) i musiała zostać od nowa przemyślana i przepracowana. Również nie wszystkie artykuły napisane przez kobiety znalazły się w tej publikacji – np. temat „Nowe technologie” okazał się zbyt mało przemyślany, aby wnieść coś oryginalnego.

*Traudel Sattler*

## **KONIEC PATRIARCHATU**

Patriarchat się skończył. Kobiety przestały w niego wierzyć i tym samym nadszedł jego kres. Trwał, dopóki odgrywał jakąś rolę w myśleniu kobiet. Teraz kiedy ją utracił, nie może dalej istnieć. Co nie oznacza, że kobiety akceptowały patriarchat – zbyt wiele decyzji podejmowano bez nich i przeciwko nim: prawa, dogmaty, stosunki własności, obyczaje i obrzędy, hierarchie, rytuały, plany dydaktyczne... Chodzi tu raczej o sytuację, kiedy, jak to się mówi, „z biedy czyni się cnotę”. Dzisiaj kobiety już w tym nie uczestniczą – żyjemy w innych czasach, co można poznać choćby po tym, że coraz mniej spraw rozstrzyga się bez kobiet lub przeciwko nim – tak jakby sprawy stały się posłuszne kobietom. Czyż to nie dziwne? Być może, w relacjach opartych na dominacji obowiązuje ta sama zasada co w miłości; to znaczy, że potrzeba tu dwojga.

A teraz kobieta nie uczestniczy już w tym układzie, nie jest już taka jak kiedyś, zmieniła się, jak to się ładnie mówi. Ale to jeszcze nie wszystko. Nie o byle jaką zmianę tu chodzi. Obecnie kobiety – ale nie tylko kobiety – poruszają się po świecie w sposób, który jasno i wyraźnie pokazuje, że patriarchat się skończył. Widać to w gotowości do zmiany samych siebie i do wchodzenia we wzajemne relacje, w których nie istnieją obszary tabu. Możemy nazwać to lekkością. Albo kobiecą wolnością – ponieważ w takiej sytuacji znikają, zarówno dla kobiet, jak i dla mężczyzn, wszelkie korzyści płynące z patriarchalnej dominacji. Niewątpliwie korzyści takie istnieją, na przykład, gdy chodzi o tożsamość: dominacja oferuje tożsamość zarówno dominującym, jak i dominowanym. Pragnienie tożsamości podtrzymywało wiele form zniewolenia. Teraz więc, kiedy patriarchat nie funkcjonuje już w myśleniu kobiet jako zasada porządkująca, stracił rację bytu przede wszystkim w sensie dominacji tworzącej tożsamość. Kobieta uwolniła się od patriarchatu – wszystko inne wynika właśnie z tego, i to w tak oszałamiającym tempie, że wielu ludzi (szczególnie, być może, tych, którzy uważają się za inteligentnych) nie jest w stanie tego pojąć.

Ktoś mógłby zaproponować: jeżeli to, co twierdzicie, jest prawdą, dlaczego nie wszyscy to widzą? Sprawa tak wielkiej wagi powinna, o ile jest prawdą, być widoczna dla wszystkich. I tak też jest. Ale aby móc ją zauważyć, trzeba przejść przez proces podnoszenia świadomości. Z każdym dniem widać to wyraźniej: jeszcze rok temu można było łudzić się, że chodzi tu o zmiany kulturowe ograniczające się wyłącznie do krajów wysoko uprzemysłowionych. Jednakże zarówno Światowa Konferencja Demograficzna w Kairze (1994), jak i Forum w Huairou oraz Światowa Konferencja Kobiet w Pekinie (1995) udowodniły, że koniec patriarchatu dotyczy wszystkich krajów świata – świata, który nagle zaczął podlegać wielkim transformacjom. Jedną z nich jest koniec patriarchatu, sprawowania przez mężczyzn kontroli nad płodnością kobiety i jej potomstwem.

Przyczynił się do tego przede wszystkim rozkład wielu rodzinnych zależności, będący wynikiem postępu technicznego oraz rozwoju medycyny, tzn. spadku umieralności dzieci i upowszechnienia – aczkolwiek budzącej wiele zastrzeżeń – antykoncepcji. Jednakże postęp gospodarczo-naukowy sam w sobie nie

### *To nie stało się przypadkiem*

prowadziłby do wolności, gdyby nie towarzyszący mu proces rozwoju świadomości kobiet i, co jeszcze ważniejsze, gdyby nie poprzedzające go kobiece umiłowanie wolności.

Cóż bowiem odkryli eksperci do spraw demografii, kiedy w końcu zdecydowali się porozmawiać z kobietami? Odkryli powszechną (i zupełnie nieoczekiwaną) potrzebę wiedzy i wsparcia, pragnienie, aby móc w poczuciu całkowitej wolności zamieszkiwać swoje płodne ciało. Ile to pieniędzy wydano na polityczne kampanie demograficzne, często urągające kobiecej godności (na przykład na wynagrodzenia dla kobiet, które poddały się sterylizacji)? Pieniądze te można by wykorzystać o wiele lepiej, wychodząc naprzeciw potrzebie kobiet do swobodnego decydowania o swoim ciele.

W komentarzach do Forum w Huairou, na którym spotkały się pozarządowe organizacje kobiece, pojawiło się hasło „nowy feminizm”. To wyrażenie jest trafne w odniesieniu do sieci powiązań międzynarodowych i międzykontynentalnych kontaktów kobiet, które, dodać należy, istnieją od początków feminizmu. Jednak dopiero w Huairou (a wcześniej także w Kairze) mogłyśmy przekonać się, że kobiety potrafią pokonać przeciwności i przepaście, powstałe wskutek zdominowania przez mężczyzn historii, jak na przykład bariery pomiędzy byłymi potęgami kolonialnymi a krajami skolonizowanymi. Błędem byłoby natomiast stosowanie terminu „*nowy feminizm*” w odniesieniu do dążenia, aby więcej kobiet zajmowało ważne stanowiska z powodu *swej odmienności*. Feminizm bowiem nigdy nie był ukierunkowany wyłącznie (a przynajmniej we Włoszech nigdy nie była to istotna kwestia) na porównywanie sytuacji kobiet i mężczyzn, lecz raczej na swobodną interpretację kobiecej odmienności, zdobywanej krok za krokiem – nie za pomocą praw, lecz dzięki praktykowaniu relacji między kobietami. Więcej na ten temat znaleźć można w esejach włoskiej pisarki Carli Lonzi (1931 – 1982) oraz w *Trzech gwineach* Wirginii Woolf (1938). Dążenia do nadania kobiecej odmienności oryginalnego, niezależnego znaczenia są o wiele starsze niż postęp naukowy, niż feminizm i niż rewolucja burżuazyjna. Tak jak istnieje bezpośredni związek pomiędzy Huairou, Pekinem a tekstami Carli Lonzi lub dziełem Simone de Beauvoir *Druga płeć* (1949), czy też twórczością Susan B. Anthony, którą Gertruda Stein nazwała „Matką nas wszystkich” (*The Mother of us All*), tak istnieje również ciągłość pomiędzy nami a *précieuses* z XVI i XVII wieku, *beginkami* z XIII wieku i Hypatią z Aleksandrii, filozofką z pogranicza chrześcijaństwa i hellenizmu, która zginęła męczeńską śmiercią z rąk fanatyków chrześcijańskich w 415 roku n.e.

Kobiety współczesne są spadkobierczyniami prastarej kobiecej miłości do wolności, o której mówimy tu, odwołując się jedynie do historii świata zachodniego, tę jednak znamy lepiej, jako że jest to nasza historia. Ale autonomia, której świadectwo dały w Kairze i Pekinie kobiety z innych kręgów kulturowych – wspomnijmy tu choćby o jednej, pochodzącej z Tanzanii Gertrude Mongella, przewodniczącej Konferencji w Pekinie – stanowi dowód na to, że również poza światem Zachodu kobiety przez wiele pokoleń rozwijały swoją świadomość, co stanowi cenne dziedzictwo tych kultur. Jednak język, jaki dotarł do nas zarówno z Pekinu, jak i z Huairou, był przesycony żałami, żądaniami i skargami – typowy język tych, które przybierają tożsamość proponowaną przez dominację: ofiary, obrończyni ofiary, bojowniczkę praw uniwersalnych. Wśród tego, przypominającego wieżę Babel pomieszania języków (o którym

### *To nie stało się przypadkiem*

świadczą również dokumenty końcowe), można było jednocześnie usłyszeć głos mówiący o pewnym wyjątkowym zdarzeniu – jednym ze zdarzeń, które kształtują historię ludzkości. Głos ten posługiwał się językiem uniwersalnym, który jednak ma niewiele wspólnego z pozorną uniwersalnością praw (de facto będącą wynalazkiem Zachodu), a bardzo wiele z podstawowym znaczeniem, jakie mają dla kobiet relacje z kobietami. Jest to zmiana jakościowa, której wagę da się ocenić dopiero za jakiś czas. Początkowo może nawet budzić lęk. „Kobietom nie jest do śmiechu, kiedy upada symboliczny porządek” – napisała w 1974 roku filozofka Julia Kristeva, świadoma, że wszelkie upadki (wspomnij choćby upadek Muru Berlińskiego) przynoszą często więcej problemów, niż ich rozwiązują. Mimo to chce nam się śmiać, choć musimy zapytać: i co dalej? Co będzie ze światem i z nami – teraz gdy życie kobiet i ich relacje z mężczyznami w coraz mniejszym stopniu zależą od patriarchalnego porządku symbolicznego?

Aby odpowiedzieć sobie na to pytanie, przyjrzyjmy się naszej teraźniejszości i naszemu społeczeństwu. Na przestrzeni ostatnich dwudziestu, trzydziestu lat bycie kobietą przestało być przeznaczeniem, biologicznie zdeterminowaną egzystencją polegającą na zaspokajaniu potrzeb innych i pozostawaniu do ich dyspozycji. Dzisiaj kobieta sama decyduje o swoim życiu. Wyzwanie dla kobiet stanowi samodzielne decydowanie o swoim wykształceniu, swojej pracy, związkach miłosnych, płodności i swojej roli w społeczeństwie. Jak dotąd w niewielkim stopniu zbadano reakcję kobiet na to „wyzwanie” (choć możemy tu wspomnieć o książce *Composing a Life* z 1989 roku Amerykanki Mary Catherine Bateson, by podkreślić jej wyjątkową historyczną nowatorskość). Częściową odpowiedź na to pytanie możemy natomiast znaleźć w danych statystycznych dotyczących pracy i rozrodczości – danych, które przynajmniej w odniesieniu do Włoch są imponujące. (Włochy w porównaniu z resztą Europy są krajem mało znaczącym, jednak z punktu widzenia polityki pozostają krajem wyjątkowym – swojego rodzaju laboratorium eksperymentalnym, co potwierdza się również i w tym wypadku).

W różnych źródłach pojawiały się dane, z których wynika, że włoskie kobiety są *najmniej płodne i najbardziej zapracowane na świecie*. Tych dwóch wskaźników nie należy rozpatrywać oddzielnie, a nawet trzeba je uzupełnić o dalsze, na przykład o lepsze wykształcenie i dłuższe życie. I rzeczywiście: z ilu dzieci zrezygnowaliśmy, aby zachować naszą autonomię i nie obarczać nadmiernie ich wychowaniem naszych matek i teściowych? Albo, by zachować siłę niezbędną do opieki nad ludźmi starymi i niepełnosprawnymi? Danych tych nie powinnyśmy również rozpatrywać w oderwaniu od kobiecej odmienności: kobieta na rynku pracy nie podporządkowuje się wyłącznie wartościom takim, jak pieniądź, władza, sukces czy rywalizacja, ani też związanemu z nimi wymogowi konkurencji; jej satysfakcja zależy również od jakości pracy, przyjaźni z koleżankami, miłości, dzieci...

Kiedy latem 1995 roku ONZ opublikowała wyniki przeprowadzonych na całym świecie badań na temat pracy, okazało się, że kobiety są o wiele bardziej pracowite niż mężczyźni, a jeżeli chodzi o Włochy – to przy całkowitym czasie pracy o wiele dłuższym niż w wypadku mężczyzn – pracują one najwięcej, zarówno w domu, jak i poza domem. Potwierdza to również fakt, który dał się zaobserwować już wcześniej gołym okiem: nasze społeczeństwo staje się coraz bardziej kobiece – kobiece, ale nie matczyne, chociaż oczywiście wiele kobiet jest matkami, no i wszystkie mają matkę. Jeszcze coś zwróciło

### *To nie stało się przypadkiem*

naszą uwagę: powściągliwość komentarzy. W prasie lewicowej wielokrotnie pisano o ekstremalnym wyzysku kobiet i braku zaplecza socjalnego – jest to schemat myślowy, który liczy już co najmniej czterdzieści lat. Zaciemnia on też wszystko, co osiągnęły kobiety: dzięki precyzyjnym strategiom udało im się połączyć obecność w życiu publicznym, osobistą niezależność i ogólnie rozumianą jakość życia. Z tej perspektywy kultura polityczna lewicy nie nadąża za rozwojem sytuacji. Nie jest w stanie przyjąć do wiadomości „kobiecej rewolucji”, która zmienia społeczeństwo w jego najbardziej podstawowych aspektach.

W sierpniu 1995 roku lewicowy dziennik L'Unità opublikował list młodej kobiety, w którym pisała ona między innymi: „Cóż pocznie ze mną, z moją feministyczną świadomością mężczyzna, mój towarzysz życia – zamknięty na całe to bogactwo, które mam mu do zaoferowania?”. Na ten list psycholog redakcyjny odpowiedział: „Po pierwsze, wasza fizjologia predysponuje was, o wiele bardziej niż mężczyzn, do introspekcji, a po drugie, nie powinna Pani oczekiwać, że mężczyzna z lewicy będzie lepszy od przeciętnych przedstawicieli swej płci”.

Po takiej odpowiedzi żadna kobieta nie będzie już z pewnością niczego oczekiwać: cóż za ślepotą wobec oznak narastającego rozłam między kobietami a mężczyznami, wobec wagi, jaką ma kobieca odmienność i jej bogactwo. Bogactwo nie fizjologiczne, jak uważa ów psycholog, lecz bogactwo w znaczeniu historycznym i politycznym – mimo że kultura feministyczna nie oddziela, oczywiście, historii ani polityki od ciała. Zdobycz kobiet polega właśnie na tym, że nie oddzielają one działalności politycznej od życia, a ich bogactwo na tym, że poszukują wciąż partnera, który stanąłby na wysokości zadania.

Być może, lewicy brakuje mediacji wpływowych kobiet. Świadczyłby o tym również fakt, że osobą, która podjęła negocjacje z przeciwnikami aborcji, był mężczyzna – sekretarz największej partii lewicowej. Z pewnością w czasach wielkich komunistek, Adriany Seroni, Nives Gessi, Nilde Iotti czy Teresy Noce, nie doszłoby do takiej sytuacji. Może jednak nie należy odwoływać się do konkretnych osób, może chodzi tu bardziej o istotę samego pojęcia „lewica/prawica”: odkąd spadło znaczenie komunizmu, pojęcie „lewicowy” czy „prawicowy” staje się w coraz większym stopniu czysto funkcjonalnym rozróżnieniem w ramach demokracji reprezentatywnej. Tak czy owak, przeciwstawianie „lewicy” „prawicy” z pewnością nie ma już sensu w odniesieniu do polityki kobiet, a co za tym idzie, na dłuższą metę, do polityki jako takiej, gdyż w coraz większym stopniu *polityka staje się polityką kobiet*.



## **ŚMIEJĄCY SIĘ SYMBOL**

Kiedy piszemy „koniec patriarchy” czy „polityka jest polityką kobiet”, jesteśmy pewne, że oba te twierdzenia trafnie odzwierciedlają zmieniającą się rzeczywistość. A jednocześnie wiemy, że będąc same w sobie zrozumiałe (może aż zbyt zrozumiałe), dla większości osób, w tym również dla kobiet, brzmią one dziwnie. Dzieje się tak dlatego, że ludzie, których dawniej zwano intelektualistami, a którzy jako pierwsi powinni zinterpretować zmieniającą się rzeczywistość, nie wsłuchują się w nią i nie chcą jej zrozumieć.

Rezultatem jest zamęt na płaszczyźnie symboli (mogłybyśmy nazwać go ograniczeniem intelektualnym), którego typowym przykładem jest cytowana powyżej odpowiedź psychologa na wyraźnie sformułowane pytanie młodej kobiety. Brak gotowości do słuchania i rozumienia zwiększa jedynie trudności w interpretacji szybko i radykalnie zmieniającej się rzeczywistości. Wiele osób uwierzyło, że wystarczy wyzwolić się od ideologii, aby odzyskać inteligencję, ale jak widać, wcale tak się nie dzieje.

W tym wypadku jednak nie chodzi tylko o inteligencję. Dane opublikowane przez ONZ na temat wyjątkowej pracowitości Włoszek wzbudziły w niektórych kręgach następującą reakcję: skoro tak, to przejmijcie władzę! Reakcja ta jest co prawda bardziej sensowna niż mówienie o nadmiernym wyzysku kobiet, ale świadczy o całkowitym braku zrozumienia zachodzących obecnie zmian. Stanowi próbę zredukowania większej obecności kobiet w życiu społeczeństwa do logiki „większej władzy”. Tak oto pragnienie władzy staje się czymś uniwersalnym i obowiązującym nas wszystkich. Jednakże wiele kobiet, a także niektórzy mężczyźni wcale go nie odczuwają, czego wyznawcy tej jednostronnej opinii i tak nie biorą pod uwagę, ponieważ najwyraźniej uważają język władzy za powszechnie obowiązujący, niczym angielski w szkole. Nie chodzi im również o pewne szczególne umiejętności kobiet, lecz o „wygodę”; twierdzą, że „tak jest praktyczniej” i że „lepiej się wówczas rozumiemy”.

Język władzy stanowi pewną odmianę ukrytej przemocy, ponieważ jesteśmy codziennie poddawani jego presji i ponieważ niszczy on naszą odmienną u samych jej podstaw, tam, gdzie możemy nadać znaczenie sobie i światu. Niszczycielski charakter konwencjonalnego, lecz obligatoryjnego języka władzy z jego roszczeniem do uniwersalności, przejawia się w pełni wszędzie tam, gdzie staje się on językiem obowiązującym.

Szeregowa przedstawicielka związków zawodowych, której praca polega na słuchaniu robotnic i robotników, zachęcaniu ich do zabierania głosu oraz uczeniu ich mówienia wprost, od siebie, na podstawie własnych doświadczeń, może funkcjonować w ten sposób tylko dopóty, dopóki jeździ od fabryki do fabryki swoim rozklekotanym samochodem. Ale kiedy przedstawia tę praktykę, swój sposób funkcjonowania kierownictwu związków, natychmiast padają pytania: czego ty w ogóle chcesz? Co to ma znaczyć – wszystko odnosić do siebie? Kobięca odmienną? Chcecie kwoty? O tym możemy porozmawiać. Nie? Czy to znaczy, że chcecie stać się nową grupą związkową? Też nie! To kim w takim razie jesteście? Siostrami zakonnymi? Opiekunkami społecznymi? Niańkami... A może nową sektą...??

### *To nie stało się przypadkiem*

W ten sposób narastają nieporozumienia, aż w końcu może dojść do rezygnacji z pracy. Chodzi tu, jak już czytelniczki zapewne się domyśliły, o autentyczną historię, która jest zarazem typowym przykładem dziwnie patowej sytuacji, w jakiej znalazło się nasze społeczeństwo. W ten sposób tworzy się ów *niewidoczny szklany sufit*, który tłumi najlepsze energie kobiet. Amerykańska socjologia, która ukuła to pojęcie, rozpatruje to zjawisko w kontekście dyskryminacji, możliwej do zlikwidowania dzięki polityce antydyskryminacyjnej. Jest to jednak iluzoryczne rozwiązanie, ponieważ polityka antydyskryminacyjna pomaga wprowadzić w górę niektórym kobietom, lecz szklany sufit nadal blokuje odmiennność, język i bogactwo kobiet, jak to widać choćby w podanym przez nas przykładzie. Ten pat może doprowadzić i doprowadza do sytuacji, w której *zagrożone staje się kobiece pożądanie*. Na koniec patriarchy kładzie się cień pozornie nieuzasadnionego cierpienia kobiet, cierpienia przybierającego postać depresji i melancholii. Czyżby na przejaśniającym się niebie wschodziło czarne słońce nowego kobiecego smutku? Czyżby w patologicznej historii skrywanego przez kobiety pożądanie historii miała zastąpić depresja? Wszystko na to wskazuje i widzi to każdy, kto posiada choćby minimum wrażliwości, śmieszne zaś może być jedynie to, że fakt ten dostrzegły autorki dokumentu politycznego, a nie ci, którzy mienią się psychoanalitykami.

Tutaj słowa Kristevej narzucają się same: „Kobietom nie jest do śmiechu, kiedy upada symboliczny porządek”. Współbrzmia z nimi też słowa chorwackiej delegatki na Forum w Huairou: „Mur Berliński upadł na plecy kobiet”. Czy to gorzkie, lecz jakże jednoznaczne stwierdzenie ma coś wspólnego z brakiem odwagi, milczeniem, powściągliwością, skłonnością do przystosowania i ograniczania siebie tak wielu z nas? Do jakiego stopnia pragnienia kobiet zależą od pragnień innych? Nie znamy gotowych odpowiedzi. Nasz wkład polega na formułowaniu i zadawaniu pytań. Mamy jednak pełną i radosną świadomość, że to właśnie my współdoświadczamy tej nacechowanej niepewnością chwili w tysiącletniej historii. To właśnie my przyjmujemy zakład, stawiając na słowa „koniec patriarchy” i „polityka jest polityką kobiet”. Precyzyjne nazwanie zmieniającej się rzeczywistości to zakład o cały świat, w którym wygraną jest otwarcie bram świata na jego bogactwo. Innymi słowy, symbol (a zakład jest czynnością symboliczną) zwycięża czarne słońce i uwalnia pragnienia. Dlatego właśnie chce się nam śmiać. Czym jest właściwie symbol? Językiem, którym się posługujemy, i głosem, którym mówimy, wraz z ich cudowną mocą *zrewolucjonizowania istniejącej rzeczywistości*. Język i głos zmieniają chwile impasu w znaczące pauzy, niezręczne sformułowania w możliwości wyrażenia czegoś w lepszy sposób, przeszkody w nowe punkty wyjścia, braki w możliwości zmiany, chwile przegranej w drabinę prowadzącą ku górze, a załamania w możliwość głębszej refleksji.

Język nie jest po prostu sumą słów, lecz ich wieloczynem, więcej – grą z otwartym zakończeniem, prawdopodobieństwem zdobycia bogactwa, gdyż nowe słowo, o czym dobrze wiedzą lingwiści, może podważyć sens wszystkich poprzednich wypowiedzi (a tym samym także życia). Polityka odmienności kobiet jest polityką symboli. Nie wyciąga wniosków z tak zwanych faktów, nie pytając o ich znaczenie – o znaczenie, które już mają, ale również o to znaczenie, które mogą przyjąć w świetle moich czy twoich pragnień. Polityka ta nie jest sumą małych rezultatów, każdy z nich inwestuje ponownie, aby zyskać

*To nie stało się przypadkiem*

jeszcze więcej – nie prowadzi więc na koniec do małych efektów, ale wyłącznie do wielkich. Pod czarnym słońcem depresji rzeczywistość wydaje się zamknięta i ograniczona; istnieją tylko mechanizmy władzy – dla tych, którzy ją kochają.

Symbol otwiera rzeczywistość, uwalniając pragnienia zawsze gotowe do skorzystania z najmniejszej nawet okazji. Symbol nie oznacza oporu, lecz nowy rozbieg; przypomina bardziej grę niż pracę. Grę, w jaką grają dzieci, z ich lekkością i wytrzymałością. Dlatego zwalczyliśmy pokusę uskarżania się i stawiania zarzutów – pokusę, która drzemie w nas, lecz istnieje również poza nami i kierowana jest przeciwko nam. Z tamtej perspektywy wszystko wydaje się niewiele warte, a pragnienia spełniają się w zdeformowany, upokarzający sposób.

Dlatego przeciwstawialiśmy się polityce emancypacyjnej, uznającej tylko jeden rodzaj pragnień, męskich, najbardziej typowo męskich, a mianowicie posiadania większej władzy niż inni i władzy nad innymi. Dlatego przeciwstawialiśmy się polityce równościowej wraz z całym jej posagiem kwot, równości szans i jej logiką współistnienia niedopuszczającą możliwości rozłamu, nowego startu czy zmian, całkowicie podporządkowanej ściśle określonym sposobom myślenia. Nazywa się ją realizmem, ale przy bliższym przyjrzeniu się polityka ta okazuje się realizmem fałszywym, który *w coraz większym stopniu traci* motywację, kreatywność i suwerenność. Wszystko, co mówimy, mówimy opierając się na naszym własnym doświadczeniu. Jak napisała św. Teresa z Avili w 18. rozdziale *Księgi swego życia*, również i my zobowiązaliśmy się „nie mówić o niczym, czego same nie doświadczyliśmy”.

## **MĘŻCZYŹNI**

Z pewnością koniec patriarchy nie jest ani nie będzie sprawą śmieszną. Patriarchat nie oznaczał po prostu kontroli sprawowanej przez mężczyzn nad kobietą seksualnością. W rzeczywistości był cywilizacją, całym rządem cywilizacji wraz z ich instytucjami, religiami i prawami. Nie jesteśmy w stanie podsumować tu wszystkich feministycznych oraz prefeministycznych badań antropologicznych, historycznych i socjologicznych. Chcemy przypomnieć jedynie, że symboliczny porządek patriarchy reprezentują takie instytucje, jak parlamenty, państwa, równość wobec prawa, prawodawstwo, wojsko, instytucje uznawane za nowoczesne i wciąż niezbędne, nawet jeśli część z nich stoi u progu kryzysu. Niestety, z tego, co wiemy, nie przeprowadzono żadnych analiz na temat związku nadciągającego kryzysu z końcem patriarchy. W tej dziedzinie także badania feministyczne pozostały w tyle. Uzasadniona jest więc obawa, że padając, patriarchat pociągnie za sobą instytucje niezbędne dla utrzymania minimum porządku społecznego, wynikiem czego będzie chaos, reakcyjny przewrót bądź opór skierowany w złym kierunku.

Cywilizacja Zachodu, o której możemy mówić, znając ją od wewnątrz, jest w znacznym stopniu dłużniczką męskiej seksualności. Ale czy męska seksualność jest tożsama z patriarchy? Czy naprawdę utrata seksistowskiej dominacji i kontroli nad prokreacją zagraża męskości? Naszym zdaniem to najważniejsze pytanie naszej cywilizacji, a tym samym również polityki. Nie mówimy już o feminizmie, który w tym punkcie, jak zostało stwierdzone powyżej, pozostał z tyłu, spętany magicznymi okowami wyobrażeń na temat wiecznego pokrzywdzenia kobiet. Zamiast tego mówimy o polityce kobiet, którą utożsamiamy z polityką w ogóle, gdyż obecnie to właśnie przede wszystkim kobiety – w znacznie większym stopniu niż mężczyźni – podejmują trudne zadania i zajmują się podstawowymi sprzecznościami w zmieniającym się społeczeństwie.

Polityka kobiet (a chodzi nam nie o określone kobiece grupy, projekty czy organizacje, lecz o działanie zgodne ze swobodną interpretacją kobiecej odmienności) zna problem relacji z mężczyznami, lecz nie jest to problem socjologiczny czy psychologiczny, wiąże się bowiem z definiowaniem własnego pożądania; chodzi tu o różnice płciowe i ich związek z dominacją. Niektórzy mężczyźni, również we Włoszech, zaczęli poszukiwać praktycznych możliwości wyzwolenia męskiej seksualności z form dominacji. Możemy przytoczyć tu choćby Anglika Victora J. Seidlera, autora książki *Rediscovering masculinity (Od nowa odkryć męskość)*. Istnieje męskie pożądanie nieutożsamione z dominacją. Wiemy o nim, ponieważ je spotkałyśmy i ponieważ wiemy z własnej historii, że pożądanie jest anarchizującą potencją poprzedzającą historię oraz każdą formę przynależności, także przynależność do płci. Podejmiemy więc ryzyko tworzenia politycznych relacji z mężczyznami, z tymi, których pożądanie nie (już nie) pokrywa się z patriarchalnym porządkiem; z tymi, których męskość przejawia się poza walką o władzę i dominację; z tymi, którzy swobodnie interpretują *męską odmiennosc*. Jasnym jest chyba, że pojęcie męskiej odmienności nie pojawiło się w naszych rozważaniach jako pojęcie analogiczne lub symetryczne w stosunku do odmienności kobiet. Historia mówi nam, że w relacjach pomiędzy płciami nie ma symetrii. Dążenie do niej jest daremne, relacja pomiędzy płciami zawsze pozostanie

### *To nie stało się przypadkiem*

asymetryczna, to znaczy nigdy nie jest lustrzanym odbiciem (najwyżej jako iluzja) i nigdy nie będzie oparta na wzajemności (najwyżej w bardzo ograniczonym stopniu). Męska odmienność pojawiła się w naszych przemyśleniach niczym odkrycie, o którym, dokonawszy go, nie możemy powiedzieć na pewno, czy zostało dokonane wskutek naszego pragnienia, czy też niezależnie od niego. Oznacza to, oczywiście, że udzielamy drugiej płci kredytu, którego odmawia jej feminizm.

Być może wywoła to uzasadnione obiekcje. Wiele kobiet zdecydowało się bowiem na taki rodzaj życia, w którym budują relacje wyłącznie z kobietami, a kontakty z mężczyznami ograniczają do minimum. Dla wielu to świadoma decyzja polityczna. Kobiety te twierdzą: „Nasze życie jest teraz zdecydowanie lepsze. Mamy więcej czasu, bezpieczeństwa, energii i wolności. Relacje z kobietami wyostrzyły naszą inteligencję i wzmocniły naszą autonomię. To wspaniałe odkryć, że nie potrzebujemy mężczyzn. W dodatku twierdzimy, że właśnie w relacji pomiędzy dwoma kobietami powstaje *swobodna interpretacja kobiecej odmienności*, gdyż w innym wypadku przeglądaliśmy się w sobie nawzajem, niczym w zwierciadle, i nie mogłybyśmy mówić o kobiecej wolności.

Nieprzypadkowo praktyka separacji, najbardziej typowa z feministycznych praktyk, rozpowszechniła się szeroko również wśród niefeministek i uprawiana jest także przez kobiety zamężne oraz związane z mężczyznami. Również one czują potrzebę przebywania wśród samych kobiet, aby lepiej zrozumieć pewne sprawy, aby podjąć samodzielną decyzję, lub by po prostu serdecznie się pośmiać. Problem jednak nie dotyczy wyłącznie drugiej płci. Dotyczy on (przede wszystkim?) kobiecej odmienności oraz gotowości kobiet do zaangażowania się, to znaczy: do podjęcia ryzyka, do pokazania siebie, zaakceptowania własnej wartości. Wiele kobiet woli raczej walczyć o równość i prawa, używać neutralnego lub męskiego języka, zamiast pokazywać światu, kim są naprawdę, co dla nich znaczy bycie kobietą. W historii ludzkości, która zdaje się historią mężczyzn, z pewnością istnieje mnóstwo przemocy wobec kobiet, ale istnieje również – prawdopodobnie znaczący – kobiecy sprzeciw wobec otwartego wyrażania swojej odmienności, jak gdyby niektóre kobiety czuły niechęć do symbolicznego uwolnienia własnego pożądanego, do działania płynącego z własnego wnętrza, nawet jeżeli oznaczałoby to uwolnienie się od wszelkich ograniczeń. Ta sprzeczność dotyczy więc bezpośrednio nas samych. Wiemy, że energia uwolniona poprzez praktykę separacji po osiągnięciu pewnego punktu zaczęła wyhamowywać. Skończył się jej wkład w upowszechnianie wiedzy i praktyki kobiet w innych kontekstach. „Wspólnota kobiet” zamknęła się na świat w przeświadczeniu o własnej samowystarczalności. To, co wcześniej było spiralą zataczającą coraz szersze kręgi, obecnie staje się zamkniętym kręgiem, któremu grozi implozja kobiecego pożądanego. Natomiast przeznaczeniem działania takiego jak nasze, którego punktem wyjścia jest pożądanego, namiętność i które sprzeciwia się porządkowaniu świata w ramach danego porządku społecznego, jest podbój świata. Praca mediatorów, próbujących wtłoczyć swe działania w kaftan bezpieczeństwa dominujących dyskursów, nieprzełamujących istniejącego porządku, jest bezużyteczna.

Jeszcze mniej przydatna jest czystość tych, które kultywują swe pasje w odizolowanej przestrzeni, nie odważając się na konfrontację i wyjście na zewnątrz. Grecki mit o korzeniach patriarchy, przytoczony

*To nie stało się przypadkiem*

przez Ajschylosa w *Eumenidach*, opowiada, że Febe, córka Ziemi, Wielkiej Matki, ofiarowała Febusowi (Apollo) przy jego narodzinach moc wyroczni, do tej pory przekazywaną wyłącznie z matki na córkę. Bogini-kobieta pozwoliła mężczyźnie uczestniczyć w boskości, tak jak pozwoliła mu uczestniczyć w prokreacji, kiedy wyjawiała mu, że tworzenie Życia nie zależy wyłącznie od kobiet. Dar Febe umożliwił więc mężczyźnie, poza tworzeniem życia, również tworzenie symboli. Jednakże w tej prehistorycznej grze kobiety poniosły klęskę: Apollo przyjął dar i podporządkował go swoim interesom. Tak oto powstało prawo ojca. W *Eumenidach* matkobójca Orestes zostaje uniewinniony, gdyż: „To nie matka tworzy to, co nazywamy jej synem; jest tylko żywicielką zarodka zasianego w jej ciele”. W poczuciu siły wynikającej z tego prawa mężczyźni wyruszyli tworzyć symbole falliczne i budować patriarchy. Dziś jednak, kiedy symbole te się rozpadają, co wyraźnie pokazują kino i sztuka, nadszedł naszym zdaniem czas, aby ponownie podjąć ten zakład.

## **UNIWERSALIZM JAKO MEDIACJA**

Przed około dziesięcioma laty francuska filozofka Luce Irigaray, jakże ważna dla feminizmu włoskiego i znana również na arenie międzynarodowej dzięki swej filozofii różnicy płci, sformułowała niezmiernie istotną ideę: *uniwersalizm jako mediacja*. Co to znaczy? To znaczy, że różnice, dystanse i konflikty nie oznaczają podziału, jeżeli istnieje gotowość mediacji i że w wypadku następowania jednej mediacji po drugiej nie pojawiają się bariery, które mogłyby powstrzymać wymianę, wiedzę, miłość. Zgodnie z tym nie ma potrzeby postulowania transcendentnej jednostki ani absolutyzowania pluralizmu. Tym, co łączy nas z inną/innym, z tym, co inne w nas samych i poza nami, jest wymiana, którą umożliwia relacja otwarta na negocjacje. Wszystko inne oznacza przemoc lub przymus, lub zagubienie – i cierpienie. Medium mogą być zmysły lub bliskość fizyczna, praca, liczby czy miłość... a przede wszystkim język. Również konflikt jest formą mediacji, która może prowadzić do twórczej wymiany – zostanie ujęty w słowa, jeśli nie zniekształcą go milczenie lub fałsz. Dotyczy to zarówno relacji z innymi ludźmi, kobietami, jak i mężczyznami, jak również z całym światem. Bez mediacji także świat wydaje nam się obcy i wrogi – lub, co gorsze – nędzny i ograniczony. Ideę uniwersalizmu mediacji chcemy połączyć z inną, którą odnajdziemy nie u Luce Irigaray, lecz już wcześniej, w twórczości Carli Lonzi, a mianowicie w jej najstynniejszym tekście powstałym w 1970 roku, *Spurtiamo su Hegel (Plujmy na Hegla)*. Ideę tę podjęła również z czasem wspólnota filozofek „Diotima”.

Sformułujemy ją wpieryw negatywnie, następnie pokażemy, jakie zawiera pozytywy. Niektóre z nas wyraziły przekonanie, że *mediacja nie jest możliwa w odniesieniu do różnic płci*. Nie oznacza to jednak, że pomiędzy kobietą a mężczyzną z krwi i kości nie może istnieć medium, jak na przykład decyzja o wspólnym życiu, urodzeniu i wychowywaniu dziecka lub dzieci; albo też wiara w tego samego boga, lub zaangażowanie we wspólny cel czy wspólne wakacje. Jednakże medium to będzie zawsze częściowe, jakaś istotna część pozostanie zawsze wyłączona – właśnie z powodu różnicy pomiędzy byciem kobietą a byciem mężczyzną. Sądzymy, że w wypadku wszystkich różnic, nieważne, czy wyrastają one z odmienności kultury, charakteru, interesów czy wieku, istnieje, przynajmniej teoretycznie, możliwość mediacji. Wyjątek stanowi różnica płci. Nie da się jej przekroczyć, gdyż przynależy ona do ciała i jego niemożliwej do pokonania nieprzenikliwości.

Mówienie więc o komplementarności kobiety i mężczyzny jest błędem; komplementarność taka może się co prawda pojawić, lecz zawsze pozostanie ograniczona. Wyrażając to pojęciami lingwistyki: różnica płci, w zależności od kultury i kontekstu, może przybierać u danej osoby różne znaczenia (*sygnatury*), jednak w gruncie rzeczy zawsze pozostaje tą samą, nieprzekraczalną sygnaturą. Możemy konkretnie uchwycić tę ideę, kiedy pomiędzy mężczyzną a kobietą, których łączyło wiele wspólnych spraw, wybucha konflikt: ku swemu zdumieniu oboje stwierdzają, że żyli wspólnie odmiennym życiem. Jednak nasza teza powinna być bardziej ogólna. Różnica istnieje również wtedy, kiedy oboje żyją w miłej zgodzie. Nawet w takim wypadku jeden z aspektów ich komunikacji pozostaje zawsze w mroku niczym ciemna strona Księżyca. Jednak czyż człowiek nie jest *medium* pomiędzy płciami? To prawda, ale tylko wówczas, gdy założymy, że człowiek to nic innego, jak kobieta/mężczyzna. Człowiek to tożsamość i odmiennosc

*To nie stało się przypadkiem*

tworzące jedną całość jak ruch po okręgu. Innymi słowy, człowiek to konieczność mediacji, którą nosimy w sobie nie bez niepokoju, wpisaną w odmienność płci. Być może, tu właśnie należy szukać korzeni mizoginii, nienawiści mężczyzn do kobiecej odmienności: w odmowie podporządkowania się konieczności mediacji. Być może, coś podobnego zachodzi w wypadku „marzenia o wielkiej miłości” u wielu kobiet.



## **JAK DŁUGO JESZCZE?**

Dlatego, kiedy znika ludzki wymiar różnicy płci, rozpada się kultura, której podstawą jest mediacja. Podczas dziwnej wojny, która rozszalała się w byłej Jugosławii, z różnych stron dochodziły wieści, że dzikim i głupim działaniami wojennym mężczyzn towarzyszy całkowite milczenie kobiet. W obliczu zdarzeń takich jak ta wojna przychodzi na myśl, że historia cywilizacji przypomina niekończącą się pracę *Penelopy*: całe dni tka się i pruje chustę. Nie znamy z czasów antycznych żadnej tragedii pod tytułem *Penelopa*, a mimo to nie ma bardziej tragicznego obrazu ludzkiej cywilizacji, dziś bardziej jeszcze wymownego i prawdziwego niż w czasach antyku.

Przyjrząwszy się trzem wojnom europejskim XX wieku, dostrzeżemy, że początkowo ludność cywilna była wciągana w działania wojenne w minimalnym stopniu, na koniec zaś totalnie: w byłej Jugosławii mężczyźni unikali bezpośrednich starć między sobą, biorąc w zamian za to na cel ludność cywilną i niszcząc wszystko, co nazywamy cywilizacją, a co stworzyły przede wszystkim kobiety swoją codzienną pracą. Ta logika doprowadziła w końcu do planowego gwałcenia płodnego kobiecego ciała. Powracając do mitu o Penelopie, na to nie odważyliby się ci, którzy pragnęli pójść z nią do łóżka.

Mniej ekstremalnego przykładu dostarcza nam rynek pracy, który, zgodnie z terminologią używaną przez ekonomistów, stał się bardziej elastyczny. W praktyce oznacza to, że jest on ukierunkowany bardziej na kapitał niż na siłę roboczą i że mężczyźni oraz kobiety, przede wszystkim młodszy, poszukujący pierwszego miejsca pracy, mają poważne powody do zmartwień. Praktycznie niemożliwym stało się więc – i dlatego też byłoby błędem – rozumienie działalności kobiet zgodnie z modelem podziału pracy symbolicznej. Ten model obowiązywał, być może, w czasach Penelopy (tzn. w czasach naszych matek), jednak obecnie stał się nieaktualny, został bowiem zniszczony. Pozornie mamy już nową sytuację: równość płci. Idea ta narodziła się w świecie zachodnim (co wymaga szczególnego podkreślenia) nie po to, by rozwiązać istniejący problem, lecz po to, by realizować logikę państwa prawa. Do pewnego stopnia jest to rozwiązanie właściwe. Dziś jednak wielu próbuje sprzedać ją jako rozwiązanie dla kwestii, o której tu mówimy: chodzi nam o wolność interpretacji różnicy płci w budowaniu cywilizacji. Wobec tej kwestii mowa o równości to na siłę wygładzona odpowiedź.

W *Composing a life* Mary Catherine Bateson pisze o sobie i innych kobietach, z którymi współpracowała przy tworzeniu tej książki: „każda z nas doświadczała, choć w różnym stopniu, dyskryminacji z powodu bycia kobietą; każda z nas była czasami traktowana mniej równo, jednak wszystkie poszukujemy nadal relacji, w których będzie się przejawiać różnica płci i czujemy się nieco zdezorientowane polityczną koniecznością zaakceptowania postulatu równości”. Równość oznacza, jak wskazuje Bateson, przymus budowania relacji symetrycznej, a taka relacja oznacza konkurencję. Konkurencja zaś uniemożliwia realizowanie relacji i form działania pozbawionych rywalizacji, czyli tych, które powodują, że współistnienie staje się ludzkie, a społeczeństwo cywilizowane. Niezmiernie wysokie obciążenie kobiet pracą w krajach takich jak Włochy (niezmnijeszające się wraz z postępowaniem kulturowym i technicznym) pokazuje wyraźnie, w jak trudnej sytuacji znalazło się wiele kobiet rozdartych między walką

### *To nie stało się przypadkiem*

konkurencyjną zapewniającą niezależność a codziennym budowaniem cywilizacji, realizowanym przez przedstawicielki tej płci od wieków. Jak długo jeszcze? Budowanie cywilizacji przez kobiety, które odbywało się dotychczas w sposób podporządkowany, pozornie niewidoczny (zanim Marc Bloch nie założył szkoły *Annales*, temat ten w ogóle nie pojawiał się w historiografii) i które co chwila poddawano ciężkim próbom, w przyszłości zupełnie zaniknie.

Sytuacje takie jak w dawnej Jugosławii czy na rynku pracy doprowadzą do zniknięcia tego rodzaju działalności – wskutek przemocy albo ogólnej zgody – jeżeli nie zostanie ona uznana za politycznie poprawną (publicznie i świadomie) przez kobiety (i mężczyzn) świadome odmienności kobiet. Jednym słowem: *jeżeli nie stanie się autorytetem dla kobiet*. Dziś kobieca odmienność – często przywoływana „specyfika kobiet” – nie istnieje już w sensie dopełnienia ludzkości, niezależnie od tego, kto lub co skazało ją na śmierć. Od dziś kobieca odmienność, od Bieguna Północnego po Południowy, od Nowego Jorku po Pekin, może oznaczać wszystko to, czym jest ludzkie istnienie: odmiennością tworzącą symbole, umożliwiającą zarówno kobietom, jak i mężczyznom uzyskać samoświadomość i likwidującą schizofreniczne dualizmy zrodzone z mitu o Człowieku uniwersalnym. Oczywiście, nie wszystkie schizofrenie czy mechanizmy wyobcowania, jakie zna historia ludzkości, lecz znaczną ich liczbę, poczynając od dualizmu pomiędzy naturą a kulturą, aż po wojnę w byłej Jugosławii.

Potrzebna jest do tego każdorazowo specyficzna analiza historyczna, podobnie jak i świadomość, że rzeczywistość nie może istnieć bez symbolu, a świat bez mediacji. Czemu jednak kobieca mediacja? To zastrzeżenie wysuwają ci, którzy, podejmując próbę usystematyzowania świata, zrezygnowali z pojęcia człowieka uniwersalnego, zastępując je lustrzanym dualizmem mężczyzn i kobiet/kobiet i mężczyzn. Systematyka kocha symetrię bardziej niż historię, która symetryczną nie jest. „Kobięcy autorytet” to odpowiedź historii. Odmienność płci narzuca konieczność mediacji, nie dając jednak odpowiedzi. Odpowiedzi udziela historia, gdyż nie da się ich wydedukować. „Kobięcy autorytet” to odpowiedź na najtrudniejsze pytanie, jakie zadaje nasze społeczeństwo – pytanie: co należy zrobić, aby nie zaprzestano mediacji?

## **SPRAWA PILNA, CHOĆ NIEZBYT POPULARNA**

„Autorytet” jest słowem mało i niewłaściwie używanym. Często myli się go z siłą i władzą. Wywołuje różne fantazje i protesty. W języku włoskim używa się raczej pojęcia autorevolezza lub innych zwrotów. Mówienie o autorytecie jest więc mało popularne. Mimo to musimy zacząć to robić, kiedy uprzytomnimy sobie, że dzieło mediacji – nie łagodzącej, lecz obiektywizującej i budującej relacje – wymaga autorytetu. Inaczej zawsze zwycięża władza lub w wypadku pozbawionych władzy zwycięża przemoc. Albo też, a przede wszystkim dotyczy to kobiet, milczenie i choroba. Ponowne odkrycie przez nas autorytetu zawdzięczamy polityce symboli, a więc takiej polityce, która wychodzi od procesów samoświadomości i relacji. Okryliśmy go jednak w całkowicie nowej formie. Dawne formy autorytetu implikują istnienie hierarchii.

Filozofka Hannah Arendt, która podjęła ten temat już w latach 60. (ujmując go z perspektywy politycznej, podobnie jak my tutaj), uważała, że autorytet i hierarchia są nierozłączne. Nie możemy się z nią w tym punkcie zgodzić. Mówiąc dokładniej: uważamy, że ma rację, jeśli chodzi o ograniczone ramy pewnych kultur i organizacji, w których porządek symboliczny zależy od ustalonego porządku społecznego. Na przykład takich, jak badane przez Arendt społeczeństwa antyku czy wiele organizacji religijnych (na przykład kościoł katolicki) Lub też, jak się wydaje, współczesna kultura Japonii.

My natomiast, odkryliśmy (a może wymyśliliśmy?) autorytet jako symboliczną jakość relacji, jako element wymiany. Oznacza to, że nikt nie jest „autorytetem”, gdyż autorytet przejawia się w dynamicznym rozwoju mediacyjnej relacji. Umowy między mężczyznami zawsze zakładają istnienie kogoś albo czegoś „trzeciego” (państwa, prawa), kto obu stronom nadaje władzę, wykluczając jednocześnie wszystko inne. Również w relacjach, którymi się tu zajmujemy, istnieje trzecia strona, a mianowicie symboliczny porządek matki, która nie wyklucza niczego. W ten sposób powstaje zgodność bez jakichkolwiek wykluczeń: ten związek pozostaje otwarty dla wszystkich, gdyż jego egzystencja zależy od zwielokrotnienia relacji.

W porównaniu z tradycyjnym schematem jest to skok jakościowy: miejsce świata definiowanego przez zewnętrzne symbole (katedra, urząd sędziowski, ambona, upoważnienie itp.) zajmuje język, dzięki któremu świat staje się płynny i zmienny, a znaczenie rzeczy podlega nieustannym negocjacjom. Rzeczywistość nie jest bowiem ustalona definitywnie – chyba że utracimy nadzieję na uczestniczenie w tej wspaniałej przygodzie interpretowania jej i zmieniania. Innymi słowy: to, co mówimy i robimy, powinno wnieść autorytet we wzajemne relacje, po to, by nie utracić i nie zniszczyć sensu osobistego i społecznego życia.

Tam, gdzie brakuje autorytetu (co jest, jeśli się nad tym zastanowimy, dość powszechnym doświadczeniem), zaczyna dominować kwestia władzy, walki o nią, Rzeczywisty powód nawiązania relacji schodzi na coraz dalszy plan, a w końcu w ogóle przestaje być ważny. Jako przykład przytoczmy tu walki o władzę, które niczym gangrena toczą uniwersytety i przynoszą poważne szkody badaniom naukowym oraz edukacji młodzieży. Nieskończenie rozbudowane procedury paraliżują wszystko, a

### *To nie stało się przypadkiem*

powoływanie nowych pracowników naukowych staje się prawie nierealne. Historiografia feministyczna udowodniła istnienie autorytetu kobiecego w przeszłości, choć istnieć mógł on jedynie w granicach ustalonych przez porządek patriarchalny. Tych granic dzisiaj albo już nie ma, albo właśnie zanikają. Dzisiaj autorytet kobiet musi walczyć z koncepcją *równości*. W ostatnich latach stała się ona jedyną odpowiedzią dominującej kultury politycznej na kwestię odmienności. Odpowiedź ta minimalizuje pierwotne znaczenie różnicy płci oraz polityczne znaczenie ruchu kobiecego, przypisując mu dążenie do zrównania kobiet i mężczyzn.

To bardzo kusząca propozycja dla mężczyzn borykających się z trudnościami, wygodna koncepcja dla wszystkich, którzy nie chcą stanąć twarzą w twarz ze sprzecznościami, jakie niesie Odmiennosc, gdyż koncepcja ta funkcjonuje automatycznie. Stosując to pojęcie-wytrych, można łatwo wyjaśnić nieobecność kobiet „dyskryminacją” kobiet, które za wszelką cenę chcą być obecne. A dlaczego niby ma tak być? Dlaczego nie rozważyć, przynajmniej hipotetycznie, myśli, że kobiety mają zwyczajnie inne priorytety, decydują się na coś innego, wolą być *gdzie-indziej? Gdzie-indziej*, czyli nie w parlamencie, nie w akademii wojskowej, nie na ringu boksterskim, nie na wydziale inżynierii, nie na giełdzie, nie być katem oraz nie nosić epoletów z najwyższym stopniem wojskowym? Codziennie, otwierając gazetę, szczególnie gazetę lewicową, kobieta musi liczyć się z tym, że została zredukowana do jednego celu, jednego wymiaru – zrównania z mężczyzną. Można to jeszcze zaakceptować, gdy komentarze tego typu wygłaszają członkowie komisji równościowych realizujący „feminizm państwowy”, chociaż szkoda, że pieniądze podatników i podatniczek wydawane są w tak zły sposób. Sprawa jednak staje się poważna, kiedy pod tego typu komentarzami podpisują się również niezależni i odważni myśliciele, jak na przykład Leonardo Boff, wybitny przedstawiciel teologii wyzwolenia. Najwyraźniej uważa on (czyżby w tym punkcie uległ kolonialnym wpływom Ameryki Północnej?), że horyzonty kobiet nie sięgają dalej niż owa słynna równość. „Istnieją wszelkie powody”, pisze w lewicowej gazecie *Unitá* (11.9.95), „aby uznać kobiety za równe mężczyznom”. Dziękujemy, nie. O co innego nam chodzi.

## **ZAMIAST JA/MY/ONI**

O co? Nie o równość, ale też o żadną nową wizję świata ani o nowe wartości. Mamy doświadczenie pewnej praktyki, praktyki relacji i za jej pomocą pragniemy przywieść świat do świata (tak brzmi tytuł jednej z książek wspólnoty filozofek „Diotima”). Pielęgnowanie relacji po to, by zrealizować konkretne cele, swoje lub cudze, szlachetne lub podłe, jest obce naszemu myśleniu. Chcąc najlepiej wyrazić cały radykalizm naszych przemyśleń, posłużymy się słowami kilku pisarek z XIII wieku: twierdziły, że Bóg powstał wyłącznie w wyniku ich relacji z Bogiem. Czyż to nie absurd? Czyż to nie błędne koło (*circulus vitiosus*)? Nie, to paradoks, świadome i mistrzowskie zamknięcie koła (*circolo virtuosus*) pod warunkiem, że za punkt wyjściowy przyjmujemy tylko twoją i moją obecność w tu i teraz. Wychodzimy więc od tych relacji, którymi jesteśmy, i z tego miejsca zdobywamy wszystko. Ile? Tyle, na ile pozwoli nam siła naszego pożądanego i siła naszej relacji, a nigdy nie wystarczy tylko jedno z nich. – Naprawdę? – Doświadczenie uczy, że tak.

Nasza działalność i nasza walka polityczna polegają na stawianiu relacji na pierwszym miejscu. I to zarówno w tworzeniu nowych koncepcji, jak i w życiu osobistym oraz społecznym. W tym kierunku zdążają też niektóre ważne współczesne nurty intelektualne, przytoczmy tu choć jedno nazwisko: Gregory Bateson, autor *Ekologii* rozumu. Praktykę relacji można interpretować co najmniej na dwa różne sposoby. Po pierwsze, jako coś, co wypełnia pustkę izolacji i samotności. Z psychologicznego punktu widzenia temu właśnie służy ona przede wszystkim, jako że nasze społeczeństwo wytwarza izolację i samotność. Po drugie, jako coś, co zastępuje „my”. Ta druga interpretacja jest nam bliższa, ponieważ implikuje krytykę relacji kolektywnej, a więc tego modelu, który coraz bardziej upowszechnia się w naszym społeczeństwie – modelu w pewnym sensie bardzo satysfakcjonującego, więcej – zbyt satysfakcjonującego.

Relacje w ramach jakiegokolwiek „my” wywołują – zwłaszcza gdy funkcjonują dobrze – poczucie samowystarczalności i wzajemnej afirmacji. Jednak osłabia to konieczność mediacji, wskutek czego zanika potrzeba spotkania się z tymi, którzy nie należą do „my”. Młoda Simone Weil nazwała to uczucie „cudownym porozumieniem” i natychmiast dodała, że w końcu zaczynamy kochać samo to uczucie – co, wedle jej ostrego komentarza, jest przyczyną „wszelkich wojen”. Gorzki, lecz jakże prawdziwy wniosek. Istnieje w nas głęboka potrzeba możliwości powiedzenia „my”, rozkoszowania się nim (rozkoszowania się byciem jednym z matką, z bogiem!). Wskazuje na to również radość, jaką sprawiają nam różne piękne rzeczy, na przykład muzyka, harmonia strun, odpowiedź jednej struny na wibrację drugiej. Czyż można to osądzać? A jednak jest to uczucie niebezpieczne, co przeczuwała Simone Weil i co potwierdza historia.

W tradycji świata zachodniego „my” przyjmowało różne formy: od pokrewieństwa po naród (bądź etniczność), od zjednoczenia religijnego do partii politycznych, od armii po klub kibiców piłki nożnej, od stowarzyszenia wsi po państwo. Niektóre z tych kolektywnych tożsamości dotknął kryzys: rozpadają się bądź „popadają w obłąd”. Obecnie mamy do czynienia z ogólnym kryzysem wielkich zjednoczeń. Trzeba jednak przypomnieć, że kobiety nie należały do nich także przedtem, i to nie tylko dlatego, że były one

### *To nie stało się przypadkiem*

dla nich niedostępne. Niektórzy twierdzą, że były z nich wykluczane, ponieważ śmiały się z nich. Kobięce „my” jest inne. Wraz z pojawieniem się feminizmu, a nawet jeszcze wcześniej – wraz z pojawieniem się masowych organizacji kobiecych, powstało bardzo elementarne „my”: „my kobiety” – niedookreślone i z całą pewnością lekceważone przez mężczyzn, ale wolne od jakiegokolwiek poczucia niższości i głoszone z dumą. Później pojawiły się hasła „przynależności do płci” i „tożsamości płciowej”. Mimo to ruch kobiecy nigdy nie przedstawiał siebie jako wielkiego „my”. Typowe dla feminizmu „my” oznaczało zawsze „my” danej grupy. W latach 80. niektóre kobiety zaczęły krytykować owo grupowe „my” i dzięki tej krytyce relacja, która w praktyce feministycznej zajmowała już wcześniej centralną pozycję, przekształciła się w radykalną koncepcję, o której mówiliśmy na wstępie.

Krytyka rozpoczęła się od odkrycia nierówności w obrębie grupy. Odkryliśmy, że nie jesteśmy takie same, o czym właściwie wszystkie wiemy (choć nikt o tym nie mówi). Odkryliśmy, że *w efektywnym działaniu tym, co popycha bieg spraw, jest właśnie mniej lub więcej czegoś, a nie równość*. Dopiero brak równowagi napędza pożądanie. Tym samym dokonaliśmy odkrycia tego, co później nazwaliśmy symbolicznym materializmem. Współczesna polityka opiera się wyłącznie na materializmie ekonomicznym, dopełnianym ewentualnie odwoływaniem się do wartości etycznych. Skutkiem tego jest przeskakiwanie nad symbolicznym zwierzęciem, jakim jest człowiek wraz z całą jego twórczością.

Próba odpowiedzenia na nierówności oraz brak równowagi w życiu społecznym zasadą równości jest, naszym zdaniem, bardzo idealistyczną koncepcją, bowiem równość jest co prawda wielką kulturową ideą, lecz w rzeczywistości nikt nie pragnie, aby się ziściła. Zazwyczaj idea ta zaczyna funkcjonować wskutek rozbudzenia zawiści – co z pewnością nie stanowi dobrej przesłanki dla jakości relacji społecznych. Kiedy odkryliśmy dynamikę nierówności, zapytałyśmy siebie, w jaki sposób możemy ją wykorzystać – nie w jakimś określonym celu, lecz samą w sobie, jako bogatszą i swobodniejszą *formę życia*, zamiast marnować ją na zawiść czy resentymenty lub wtłaczać w obce jej mechanizmy, takie jak demokracja reprezentatywna czy giełda papierów wartościowych. Tak oto doszliśmy do relacji, która zastępuje „my”.

W gruncie rzeczy nie jest to wcale nowa relacja; należy do tych, które umożliwiają każdemu człowiekowi zarówno przyjście na świat i życie w nim, jak i odnalezienie sensu swojego istnienia. Jednakże teraz widać w niej wyraźnie dotychczas ignorowaną bądź lekceważoną jakość, a mianowicie *konieczność mediacji* zrodzoną z nierówności pożądania. Wiele mówi się dzisiaj o prawie do życia i prawach człowieka – być może stanowi to reakcję na zbyt lekkomyślne traktowanie życia. Ale hasła prawa do życia i praw człowieka nie pokazują, że życie i ludzkość uratować i odnowić może jedynie nieustanna mediacja.

Dobrym przykładem są tu dzieci: bezbronne, potrzebujące, zawsze gotowe przyjąć wszystko za darmo, ale równie gotowe do negocjacji i do zapłaty, jeśli nie mogą otrzymać za darmo tego, czego pragną. Różnica wynika z wysokości negocjowanych wkładów. Relacja zastępująca „my” nie stawia żadnych granic potencjalnym zyskom osiąganym poprzez negocjacje. Zysk bowiem jest reinwestowany w możliwość nowej wygranej, a wygrane nie sumują się jedynie, ale tworzą nową jakość. W biografacjach

### *To nie stało się przypadkiem*

kobiet, uznawanych przez nas za wybitne, znajdujemy wiele przykładów takiego ponownego inwestowania, za którym skrywają się coraz bardziej zróżnicowane i odważne negocjacje. Chodzi tu oczywiście nie tylko o wysokość pożądanej nagrody. Chodzi jednocześnie o to, ile jesteśmy w stanie za nią oddać. Niektórzy niezbyt zamożni ludzie wierzą, że bieda uniemożliwia im prowadzenie szeroko zakrojonych negocjacji. Cóż za nieporozumienie! Postępowanie krok za krokiem pozwala wiele osiągnąć. Jednak prawdziwy skok jakościowy w negocjacjach następuje wówczas, kiedy wnoszę na rynek wszystko. Nie tylko to, co posiadam, ale i całą siebie, taką, jaka jestem (jak myślę, wierzę, chcę, pragnę, czuję). To znaczy cały świat, gdyż „moje” istnienie nie jest niczym innym jak przejawem – częściowym, lecz nierozdzielny – całego świata. Na rynek wnieść można wszystko: przyjaźnię, romanse, honor, wiarę, skłonności, spokój... Cóż to za horror, powiedzą niektórzy. Prawdziwy horror jednak zaczyna się wtedy, gdy mamy do czynienia z ograniczonym rynkiem, ze skromnymi transakcjami. Mówimy tu o negocjacjach jako ogniskowej relacji negocjującej, a nie instrumentalnej – a raczej wielu relacji, które pozwalają nam być, czuć i mówić takimi, jakie jesteśmy, czujemy i mówimy.

Chodzi nam o *pierwotną wymianę*; tę, która stanowi podwaliny świata, proponujemy więc ją uruchomić i w dodatku twierdzimy, że wiemy, jak to zrobić. Wiemy to z własnego doświadczenia, o którym już wspominałyśmy: kobiety wchodzą na rynek pracy, ale nie podporządkowują się w pełni jego wymogom; następne dopasowują się do nich, zarówno wewnątrz, jak i na zewnątrz świata pracy. Obecna rewolucja życia kobiet byłaby niemożliwa bez prowadzenia zróżnicowanych negocjacji. Chodzi tu nie tylko o wysokość zarobków czy o wysokie stanowiska, lecz o całość wzajemnych relacji, które obejmują wszystkie obszary: jakość pracy, satysfakcję emocjonalną oraz wymogi cywilizacji, jak na przykład opieka nad starszymi osobami. Dlatego twierdzimy, że polityka jest obecnie polityką kobiet. Nie możemy tkwić w kryzysie końca tego wieku, tego tysiąclecia, nie wnosząc na rynek wszystkiego – naszej siły roboczej, ale też naszych uczuć, oczekiwań, skłonności, dążeń... Biorąc pod uwagę to kryterium, uważamy, że rynek regulowany pieniądzem stanowi tylko połowę rynku i nie umożliwia całej wymiany, której człowiek pragnie i do której jest zdolny.

## **MIEJSCE WOLNOŚCI**

Jednakże do uruchomienia tej wymiany potrzebne są negocjacje bardziej zróżnicowane niż te, które stosuje się w obecnej polityce. Negocjacje zróżnicowane mają dwa oblicza: pierwsze jest wyraźnie widoczne – negocjacje z inną partią (kobietą, mężczyzną, przeciwnikiem, przyjacielem, instytucją, władzą...). Ale jest także drugie, mniej widoczne, i tego nie może zabraknąć – negocjacje ze sobą. Najprościej sformułowane pytanie: co chcę dać w zamian za co? To wprost niewiarygodne, jak wiele możemy zainwestować i ile możemy wygrać, jeżeli właściwie poprowadzimy te wewnętrzne negocjacje. Życie staje się prawdziwym wolnym rynkiem, którego nazwa padła już wcześniej – to symbol. Możesz zainwestować swoje najgorsze uczucia, takie nawet jak zawiść lub podejrzliwość: jestem gotowa wymienić je... za co? Może na przykład za więcej mądrości. To funkcjonuje.

Ale istnieją też przeszkody. Praktykę relacji blokuje często potrzeba bronięcia własnej tożsamości przez jedną ze stron. Niestety, czasami uważamy błędnie, że tożsamość nie może stać się przedmiotem wymiany. Wystarczy jednak przypomnieć sobie, w jaki sposób nauczyliśmy się mówić, aby dostrzec, że to nieprawda: oddaliśmy możliwość bezpośredniego doświadczenia w zamian za słowa. Małe dzieci są doskonałymi, całkowicie niezależnymi handlarzami: oddają siebie, pozostając nietykalne, gdyż nikt nie jest na tyle sprytny, aby przewidzieć ich kalkulacje. W ten sposób odnawiają się nieustannie, pozostając sobie wierne jak nikt inny. Tak praktyka tworzy wolność. Relacje czysto funkcjonalne istniały zawsze, wymyślone i praktykowane przez mężczyzn dla budowania społeczeństwa, organizowania współistnienia i tworzenia instytucji. Kobiety wynalazły relację, której celem jest sama relacja i która ze swej istoty staje się symbolicznym miejscem ludzkiego istnienia. Tę kobiecą wiedzę na temat ludzkiego istnienia można wytłumaczyć tym, że kobieca egzystencja znajduje swój sens w odrębności, którą pierwotnie odkrywa w relacji z matką.

Z tej relacji i z tej odrębności wywodzą się negocjacje ze sobą: nie jesteś wszechmocna, spróbuj znaleźć dla siebie miarę, nie trać w nieprzemysłany sposób energii, unikaj naśladowania innych, nie pomniejszaj się ani nie nadymaj, poszukaj odpowiedniej dla siebie miary – takiej, którą naprawdę możesz wypełnić. Niektóre kobiety zgadzają się z tym poglądem, nie chcą jednak nazywać tego polityką. Ich zdaniem polityka zaczyna się dopiero wówczas, kiedy mamy do czynienia z wielkimi zjawiskami i z władzą. To przekonanie reprezentują również mężczyźni, którzy nie mają zamiaru powierzyć zarządzania sprawami publicznymi wyspecjalizowanej mniejszości, lecz dążą do wciągnięcia w to mas, pragnąc uczynić z nich protagonistów własnej historii. Jednak nie dostrzegają bądź nie chcą brać przy tym pod uwagę jednego z aspektów współczesnej kultury: masy od dawna tkwią po uszy w tak rozumianej polityce; stały się już one protagonistami własnej historii, gdyż za własną zgodą zostały wrzucone w cykl produkcji i konsumpcji. Za sprawą namiętnie wchłanianej kultury mass mediów doskonale zdają sobie sprawę ze swojej sytuacji. Nie da się jednak zaprzeczyć, że ten „awans” wiąże się z coraz większymi lękami, z rosnącym symbolicznym zubożeniem, a w wypadku młodzieży z coraz większym smutkiem. Nie można również utrzymywać, że padliśmy ofiarą oszustwa, bądź że istnieje powszechne, choć skryte pragnienie zmiany. Tak nie jest.



### *To nie stało się przypadkiem*

Sądzimy natomiast, że istniejące horyzonty stały się zbyt ciasne dla coraz większych możliwości. Sądzimy również, że horyzontów tych nie da się już poszerzyć o kuszące cele lub fascynujące wyzwania, jeśli zabraknie tej wolności, *którą rodzi zdolność zmieniania siebie* i która ze swej strony stanowi produkt negocjacji z samą sobą i negocjacji między sobą a światem. To znaczy, jeśli gra nie zostanie podjęta na nowo ze zmienioną świadomością (czyż nie to właśnie miał na myśli Marks w o wiele większym stopniu niż władzę, partię i państwo – wszystkie te sprawy, które przypisano mu później?). Zmienioną świadomością w znaczeniu swobodnego dysponowania bogactwem, które wyrasta z naszej własnej historii – poczynając od dzieciństwa – i naszych najważniejszych relacji z innymi ludźmi. Poza tym, jak można nie zauważyć, że takie „nowe otwarcie gry” stało się dziś pytaniem numer jeden polityki wobec sprzeczności, w jakich tkwi tak zwana władza polityczna? Władza, która nie jest ani polityczna, ani gospodarcza, lecz która konstytuuje się w wyniku powszechnej potrzeby posiadania wspólnego rządu zgodnie z prawomocnymi procedurami (jak np. wybory). Czy istnieje dziś jeszcze tak rozumiana władza polityczna? Pytamy o to, widzimy bowiem, jak stopniowo niszczą ją imperatywy ekonomiczne, blokują złe uregulowania, których nie daje się zmienić (podobnie jak nie przestrzega się dobrych), jak wypiera ją, a wkrótce prawdopodobnie zastąpi, ideologiczna władza mass mediów i jak polowanie na głosy wyborców powoduje jej całkowite rozmycie.

Mierzenie polityki według kryteriów liczbowych i dostrzeganie możliwości działania wyłącznie na tym poziomie jest naszym zdaniem iluzją, istnieje bowiem również takie działanie polityczne, które rzeczywiście zasługuje na tę nazwę. Bez negocjacji z sobą samym niczego nie można osiągnąć. Zapytajcie Nelsona Mandelę, słusznie uważanego za jednego z najwybitniejszych polityków współczesnych, który całymi latami, bezbronny za więziennymi murami, potrafił pracować na rzecz pokojowego współistnienia czarnych i białych mieszkańców Afryki Południowej. Robił to dopóty, dopóki ten powszechnie uznawany za nierealny cel nie został urzeczywistniony. Zapytajcie mediatorów i mediatorki, z powodów bezpieczeństwa zazwyczaj anonimowych, którzy pracują nad zbudowaniem odrobiny pokoju tam, gdzie przedtem władały destrukcyjne konflikty.

Relacje między ludźmi zawsze poddawane są próbie konfliktu. Właśnie wówczas, kiedy dochodzi do konfliktu, wyraźnie widać, że zdolność negocjowania ze sobą ma charakter polityczny. Czasem bowiem przestrzeń otwarta dla negocjacji może okazać się zbyt ciasna – szczególnie dla tych, którzy nie chcą zdradzić swego mandatu czy swoich podstawowych przekonań i nie są zdolni ani do zmiany siebie samego, ani do odstąpienia od swoich pozycji. Własne Ja, tożsamość, której trzymamy się kurczowo z braku wolności, zajmuje bardzo wiele przestrzeni – przestrzeni zamykanej w ten sposób na negocjacje. W polityce kobiet istniała natomiast tendencja do unikania konfliktów lub jeśli nie było to możliwe, do ignorowania ich, albo zerwania relacji, dla zachowania poczucia własnej godności, po czym każda ze stron szła dalej w swoim kierunku. Świadomość końca patriarchy nie pozwala już na takie postępowanie, ponieważ *wraz z autorytetem przyjmujemy również konflikt*.

Zaakceptowanie własnego autorytetu oznacza również zaakceptowanie istnienia konfliktu, zaprzestanie unikania go, przemilczania czy przyklepywania, nie można go już też (co bywa jedną z najczęściej

*To nie stało się przypadkiem*

stosowanych praktyk) ograniczyć do jednej, wybranej kwestii. Chodzi o to, aby stał się on otwarty i możliwy do praktykowania, aby – podobnie jak autorytet – był płynny, by nie zastygł w swej destrukcyjności. W ten sposób unieszkodliwione zostaje również widmo rzekomej wszechmocy, jakiej w rzeczywistości nikt nie posiada. Kiedy pokonamy te widma, wtedy właśnie praktyka konfliktu pozwoli poznać nam cudowną współzależność pomiędzy działaniem politycznym a zmianą siebie. *Ta współzależność właśnie stanowi tajemnicę wielkiej polityki.* Kobiety wiedzą to lepiej niż mężczyźni, a jednak przytoczone przykłady dotyczą mężczyzn. To bardzo pouczająca, choć nienowa sprzeczność potwierdzająca nieprzekraczalną asymetrię obu płci.

## **„YO NO SOY PARA MAS DE PARLAR”**

„Być może przypisuję sobie zbyt wiele”, pisze św. Teresa z Avili w 21. rozdziale swej *Księgi życia*. Twierdzi w nim, że ma wiedzę polityczną, która byłaby bardzo przydatna królom: „O ileż korzystniejszym byłoby dla nich przyswojenie sobie tego, zamiast dążenia do powiększania swojej władzy! Jakaż sprawiedliwość zapanowałaby w ich królestwach! Ileż zła można by uniknąć, ileż zła by już uniknięto!”. A potem stwierdza, biorąc pod uwagę własną płeć i uwzględniając bohaterskie czyny innych kobiet: Nie potrafię robić nic innego, jak tylko mówić, (yo no soy para mas de parlar). Dotyczy to również nas, podobnie jak dotyczy innych kobiet w niezliczonych sytuacjach codziennego życia. Mówić i słuchać, jak twierdzi cytowana poniżej kobieta pełniąca funkcję przewodniczącej ubogiej dzielnicy, konfrontowana nieustannie z problemami imigracji i prostytucji: „Na początku mojej działalności jako przewodnicząca dzielnicy czułam się, jakbym siedziała na karuzeli, która wirowała w kółko, nie pozwalając mi działać zgodnie z własną wolą. Moja praca polegała wówczas głównie na tym, aby zatrzymać tę karuzelę, aby nie dać się zastraszyć istniejącym trudnościom – prawdziwym lub pozornym – i aby wzmocnić praktykę relacji, przede wszystkim wobec kilku kobiet. W ten sposób udało mi się z należytą uwagą przyjrzeć istniejącym problemom i znajdować rozwiązania w bezpośrednim kontakcie z konkretnymi kobietami oraz mężczyznami – którzy często mają o wiele większe możliwości aniżeli tak zwane instytucje. To, że tak wiele osób zwraca się ze swymi problemami do rady dzielnicy i że są zadowolone, jeżeli przynajmniej zostaną wysłuchane i same usłyszą kilka sensownych słów, pokazuje mi, jak silna jest potrzeba komunikacji i *autorytetu*. Odnajdujemy więc autorytet, tu w połączeniu z zaufaniem i rozmową (już Hannah Arendt pisała o tym związku). Zaufanie to nieomal synonim autorytetu, a jego związek z mówieniem jest równie znaczący. Posługując się językiem, językiem matki, ufamy mu, a przynajmniej ufałyśmy, ucząc się go. Język stanowi najbardziej pierwotny autorytet, a autorytet nie może istnieć bez słów.

Inaczej rzecz się ma z językiem polityki. Okropny polityczny i dziennikarski żargon to nie tylko zwierciadło, to pełen udręki wyraz utraty sensu. To, co do tej pory stanowiło „politykę”, nie ma już sensu, lecz prawie nikt nie odważa się o tym mówić z lęku, że wszystko mogłoby rozsypać się w proch. Znaczące wydaje się, że sami zainteresowani, choć zdają sobie sprawę z rozkładu, gdyż na co dzień muszą stawiać mu czoła, ciągle poszukują brakujących elementów, zamiast zastanowić się nad oczywistą podstawową sprzecznością zawartą w samym sprawowaniu władzy. Najpierw twierdzili, że wystarczy wprowadzić we Włoszech system większościowy, a cała reszta uporządkuje się sama. A czego brakuje teraz, kiedy został już wprowadzony? Wyborów dwustopniowych. Czemu nie pomyśleliście o tym wcześniej? Jednak przy wyborach burmistrzów mamy zarówno system większościowy, jak i dwustopniowość – czego tam brakuje? Z pewnością problem leży w tym, że nasza demokracja jest jeszcze bardzo młoda, że brakuje silnej tradycji rządów – nie, brakuje wyborów wstępnych, brakuje federalizmu, samorządności regionów, bezpośrednich wyborów przewodniczących partii, siły przebiccia... zawsze po prostu czegoś brakuje do tego, by móc rządzić. No a Clinton i wspaniała Hillary – czego im zabrakło? Z pewnością ani dojrzałej demokracji, ani wyborów wstępnych, federalizmu, bezpośrednich wyborów czy siły przebiccia – a mimo

### *To nie stało się przypadkiem*

to nie udało się im zmienić beznadziejnego systemu opieki zdrowotnej w USA i przybliżyć go do znacznie bardziej cywilizowanego systemu europejskiego. A przecież było to (i jeżeli chodzi o Hillary, być może wciąż jeszcze jest) główne hasło ich kampanii wyborczej, które przyniosło im zwycięstwo.

W jednym z artykułów wstępnych dziennika *La Stampa* możemy przeczytać, że „na całym świecie polityka jest legalną walką o władzę”. Biedni, nieświadomi swej nagości królowie. Niektórzy z nich zdają się coś podejrzewać, jak choćby ów radny jednego z większych miast, odpowiedzialny za politykę społeczną, który zawstydzony wyjaśnił: „Same instytucje nie wystarczą”. Chodziło mu o to, że ani jego urząd, ani jego zarząd miasta, jego większość nie są w stanie zrealizować nawet ułamka swego programu, jeżeli nie zaczną współdziałać również inne siły. Można sformułować to również w inny sposób, rzucając światło na rosnącą bezsilność władzy: polityki nie da się zredukować do „legalnej walki o władzę”, bo gdyby była tylko tym, politycy bawiliby się po prostu we własnym gronie w Indian.

Polityka to także praca społeczna, spółdzielnie, stowarzyszenia, sąsiedzkie sieci solidarności, księgarnie, w których spotykają się ludzie i idee, niezależne wydawnictwa... Podajemy te przykłady (nieliczne z wielu) po to, by podkreślić, że praktyka relacji i negocjacji leżąca u ich podstaw jest polityką. Właśnie tej praktyce realizowanej przez kobiety i mężczyzn w najróżniejszych miejscach zawdzięczamy to, że struktury społeczne nie rozpadły się dotychczas, że nasze współistnienie jest prawdziwym życiem, a nie pełnym uprzedzeń i złości trwaniem. To ta praktyka powoduje, że urzędowe decyzje uzyskują nogi (a także głowy i serca), aby pójść we właściwym kierunku, że każda/y ma możliwość ich przemyślenia i zrozumienia, a w konsekwencji działania poza ścisłym kręgiem swoich prywatnych spraw.

W Księgarni Kobiet w Mediolanie pojawiła się kiedyś przewodnicząca wielkiej spółdzielni realizującej programy społeczne i zapytała nas: „Zaproponowano mi, abym kandydowała do rady miejskiej. Co mi radzicie? Jestem skłonna przyjąć tę propozycję, chociaż, szczerze mówiąc, wolę pracę w spółdzielni. Ale już od dawna czuję, że powinnam zaangażować się w politykę. Odpowiedziałyśmy jej: „To, co robisz jako przewodnicząca spółdzielni, jest już polityką. Więcej, uprawiasz ten rodzaj polityki, bez której ta druga nie byłaby w stanie funkcjonować. Ty i twoje koleżanki przeciwstawiacie się izolacji i indywidualizmowi, rozwiązujecie problemy społeczne, demonstrujecie zalety współpracy, tworzycie więc relacje społeczne, tworzycie fragment świata. Jak twierdzą filozofki z »Diotimy«: sprowadzacie świat do świata”. Zgodziła się z nami, choć miała pewne zastrzeżenie: „Gdybym była w radzie miejskiej, mogłabym tam reprezentować interesy spółdzielczości, które są ignorowane bądź zaniedbywane przez zarząd publiczny, ponieważ nie wie on nic o tych projektach”. My na to: „Ale czemu chcecie się im przedstawiać? To oni powinni przyjść do was. Wy tworzycie pierwotną politykę, a oni uprawiają politykę, która jest o wiele mniej skuteczna od waszej”.

Tekst, który właśnie piszemy, wiele zawdzięcza opowiedzianej właśnie historii. Przewodniczącej spółdzielni pomysł „polityki pierwotnej” ogromnie się spodobał i zgodziła się z nami, że rzeczywiście powinno być na odwrót, że to nie ona powinna stać w kolejce do radnej czy radnego, lecz oni powinni rozmawiać ze spółdzielnią o problemach potrzebujących pomocy obywaterek i obywateli. Na koniec

*To nie stało się przypadkiem*

stwierdziła jeszcze: „Wiele osób uprawia politykę pierwotną, lecz nie uważają tego za politykę, gdyż ze zbyt wielką pokorą odnoszą się do polityków lub też odwrotnie, ponieważ gardzą polityką i niczego nie chcą o niej wiedzieć. Moim zdaniem należałoby przybliżyć im wasze poglądy, uważam je bowiem za słuszne”. Tak właśnie narodził się pomysł *Sottosopry*, w której przedstawiamy publicznie ideę polityki pierwotnej – tym, które ją już uprawiają, ale także oficjalnym politykom, gdyż odkrycie to ich przede wszystkim dotyczy.

## **STAŁO SIĘ**

Historyczka i pisarka Lidia Storioni Mazzoleni na pytanie, dlaczego zajmuje się przede wszystkim postaciami kobiet, odpowiedziała: „Musi istnieć jakiś powód, dla którego nieświadomie i instynktownie stale zajmuję się postaciami kobiet. W mojej książce *Profili Omerici (Postacie homeryckie)* jest to Helena tkająca na krosnach historię wojny trojańskiej; potem Kasandra, skazana na to, że nie zostanie wysłuchana jak wszystkie inteligentne i obdarzone rozsądkiem kobiety; potem mamka Eurykleja, która jako pierwsza rozpoznała Odyseusza. Kobieta była również Galla Placydia i następna kobieta, „żona”, którą stworzyłam z różnych fragmentów tekstu i spróbowałam przywrócić do życia... Kobietami są również protagonistki wielkich tragedii – Antygona, Elektra, a także najbardziej poruszająca postać Iliady, Andromacha. Kobiety, które splotły w jedno historię i życie. *Stało się to nieświadomie, ale z pewnością nie przypadkiem*”. (Wywiad przeprowadzony przez Eugenio Manca dla dziennika Unitá). Naszą wypowiedź powinien cechować ten sam określony, subtelny ton, jaki cechuje ostatnie zdanie słynnej uczzonej: „Stało się to nieświadomie, ale z pewnością nie przypadkiem”.

Bez odpowiedzi pozostało jeszcze jedno pytanie: czy istnieją dwa rodzaje polityki? A także, jakie skutki przynosi w praktyce fakt, że jeden z nich jest przedkładany nad drugi? Nie, nie istnieją dwa rodzaje polityki. Istnieją dwie płcie, ale świat jest jeden i zamieszkują go zarówno kobiety, jak i mężczyźni. Nazwa „polityka pierwotna” ma stanowić pomost dla tych, którzy nazywają siebie politykami, aby umożliwić im uświadomienie sobie, że nie mogą zamykać się w „świecie polityki”, a zamiast tego powinni skierować wzrok na niezliczone kobiety i mężczyzn, którzy dzięki swemu zaangażowaniu cywilizują cywilizację, a ludzkość czynią ludzką. Należy więc postawić inne pytanie, a mianowicie, czy i jak to działanie może stać się tą polityką. Z pewnością nie tak, jak wyobraża to sobie pewien referent do spraw socjalnych: jako źródło informacji lub działania uzupełniające, gdyż nie żyjemy już w czasach donosicielstwa i łatania dziur. żyjemy w czasach zmiany.

Tym, co w czasach przemian sprawia trudności, jest *sposób widzenia*. Wzrok pozostaje utkwiony w starym i nie znajdując dobrze znanych form, postrzega głównie rozbitcie i bałagan. Nie widzi, że rzeczywistość przyjmuje nowe kształty, że istnieją już dobre, stosowane w wielu miejscach rozwiązania. Takie jak na przykład samorządne stowarzyszenia, będące odpowiedzią na kryzys wielkich organizacji; albo organizacje oparte na wolontariacie, które próbują dać praktyczną odpowiedź na społeczne i światowe kryzysy (te ostatnie, być może, muszą pozostać bez odpowiedzi). Pomyślmy też o wzroście samorządnej i samodzielnej pracy, co wyrównuje nie tylko spadek liczby stałych miejsc pracy, ale również spadek ich znaczenia. Odpowiedzi te same w sobie są już polityką. Otwierają bowiem możliwość pośredniczenia pomiędzy pragnieniami i potrzebami z jednej a zmianami historycznymi z drugiej strony. Stary sposób widzenia nie dostrzega, że te odpowiedzi ożywiają świat i społeczeństwo niezależnie od sprzeczności i pęknięć teraźniejszości. Ze wszystkich sił próbuje znaleźć odpowiadające jego logice formy polityczne: nad odkryciami nowego stawia powtarzanie starego, a nad twórczym podejściem zachowanie już istniejącego. Zbyt często na przykład również organizacje społeczne i samorządne stają po stronie władzy politycznej, tak jakby oczekiwały od niej symbolicznego uznania. Ale, jak wykazałyśmy

### *To nie stało się przypadkiem*

upřednio, dominująca kultura polityczna dotknięta jest szczególną ślepotą wobec kobiecych form mediacji, które w czasach kończącego się patriarchy funkcjonują całkiem skutecznie i niezależnie. Jako oznakę tej niezależności należy ocenić fakt, że kobiety nie formułują potrzeby podstawowych zmian w swoim życiu w kategoriach żądań wobec oficjalnej polityki. Nie oznacza to jednak, że kobiety gardzą oficjalną polityką, uczestniczą bowiem w wyborach. Przejawia się w tym raczej świadomość naturalnych ograniczeń tej polityki. To, o czym tu mówimy, jest oczywistością. Jednak stary sposób widzenia nie dostrzega tego zjawiska, próbując interpretować je na dwa sposoby.

Po pierwsze, jako brak regulacji prawnych. Po drugie, jako nierówną reprezentację płci. Pozbawia to kobiece formy działania ich politycznej substancji. Możemy tylko o tym mówić, mówimy więc: w niektórych miejscach mamy do czynienia z „nieobecnością kobiet”, która wcale nią nie jest. W określonych dyskusjach mamy do czynienia z „milczeniem” kobiet, które wcale nim nie jest. Kobiece *pełne życia* pożądanie narodziło się z gorzkiej historii przymusów i ograniczeń, stworzyło oryginalne formy działania i środki wyrazu. Wyjaśnia to również, dlaczego socjologii, ekonomii politycznej i polityce nie udaje się wtłoczyć decyzji kobiet dotyczących ich pracy i życia w dane z góry schematy interpretacji. Nawet feminizmowi, temu feminizmowi, który rości sobie prawo reprezentowania kobiet, to się nie udało. Kobiety (albo raczej: kobieta) nie godzą się na to, by być przedmiotem reprezentacji ani nawet jej podmiotem. W ten sposób ujawniła się „ukryta przesłanka” (Robert Kurz) współczesnego, opartego na produkcji i konsumpcji towarów społeczeństwa: była to wykonywana w milczeniu i za darmo praca kobiet. Dziś te tradycyjne związane z domem i jego mieszkańcami wzorce ról przestały być tak nieodwołalnie obowiązujące, jak w przeszłości, i nie przeszkadzają w podjęciu bezpośrednio opłacanej pracy zawodowej. Ale – i w tym leży sedno całej sprawy – kobiety nie identyfikują się z upadkiem tej niewidocznej i darmowej, lecz posiadającej fundamentalne znaczenie pracy. Skończyły z milczeniem na temat rabunkowego wykorzystywania swojej pracy, ale nie z samym cywilizatorskim działaniem, które w pełni – również ekonomicznie – ujawnia obecnie swój zasięg. Polityka kobiet zdziałała więc znacznie więcej, aniżeli tylko ujawniła „tajemnicę” kobiecego podporządkowania w domu: sprawiła i sprawia nadal, że kobieta przestała być przedmiotem wymiany pomiędzy mężczyznami. Sprawiała i sprawia nadal, że ludzkie istnienie nie podlega mechanizmom, narzucającym relacjom między ludźmi charakter handlowej wymiany. Innymi słowy: dzięki kobiecej wolności coraz mniej możliwe jest przekształcanie relacji między ludźmi w dobro, które jak każdy inny towar wprowadzić można na rynek.

Kobiece odmiennosc nabiera tym samym uniwersalnych cech człowieczeństwa, co nadaje projektom, które „są już polityką”, choć o tym nie wiedzą, niezbędny radykalizm. Wszelkie przedsięwzięcia mające na celu zmianę istniejącego stanu – pracy, kultury, gospodarki, organizacji, życia publicznego – mogą teraz dzięki swobodnej interpretacji kobiecości i męskości zyskać nowe środki wyrazu i lekkość w traktowaniu spraw. Mówimy o tym bez poczucia triumfu. Z wieloma sprawami musimy się jeszcze skonfrontować: z nadmierną wiedzą o życiu, którą posiadamy, ze zbyt intensywną wymianą między kobietami, z potężną, wielką historyczną wygraną – końcem patriarchy – która nieuchronnie przynosi nam ogrom nowych zadań.

*To nie stało się przypadkiem*

Przekład:

z włoskiego – Małgorzata Fic

z niemieckiego – © Natasza Szymańska ©

Opracowanie: zespół

Publikacja wydana ze środków Libreria delle donne di Milano i Heinrich Boell Stiftung

Fundacja PSF Centrum Kobiet Warszawa 1999

Tytuł oryginału

E'ACCADUTO NON PER CASO

Copyright Libreria delle donne di Milano 1996

Copyright for the Polish edition by Fundacja PSF Centrum Kobiet, Warszawa 1999

ISBN 83-911573-1-8

Opracowanie e-booka:

OCR i formatowanie – Petros

Korekta – Petros i KaNaKo